

Wybieram rybę! Przedwyborcze strajki w obronie środowiska

24 maja 2016

Sajgon. Cicho jest tu tylko przez chwilę, między trzecią a czwartą rano. Przez resztę dnia miasto szumi motorami. Piski, trąbnięcia, zgrzyt hamulców. O dziewiątej rano jest już nieznośnie gorąco. Słońce rozgrzewa ulice i nierówne chodniki, po których i tak nie ma jak chodzić – zastawione są skuterami.

Tu na pieszo chodzą tylko biedacy. I biali, z zaczerwienionymi od słońca i potu twarzami.

Tam, gdzie jest choć odrobina wolnej przestrzeni, rozstawiane są uliczne restauracje. Cztery plastikowe stołeczki, pojemnik na lód i szklana gablotka, w której stoi puszka otwartego skondensowanego mleka. Nie potrzeba nic więcej – kawę zaparza się gorącą wodą z termosu, dodaje lodu i mleka. Jest mocna, aromatyczna i bardzo słodka.

Ruch słabnie koło południa, słońce jest zbyt silne, kto może ucina sobie drzemkę. Uliczny fryzjer zasnął w leżaku pod płachtą rozciągniętą nad zawieszonym na murze lustrem. Moto-taksówkarz wyciągnął się na swoim motorze – plecy oparł o kierownicę, nogi zwiesił po bokach. Inny siedzi na skuterze po turecku, czyta gazetę. A jeszcze inny, goli się na sucho, używając motorowego lusterka i żyletki ze stępionym ostrzem.

Ale ostatniej niedzieli w południe ruch wcale nie zelżał. Wszędzie kręcili się policjanci w mundurach w kolorze bawarki. Dołączyli do nich ubrani w ciemną zieleń wojskowi. Tłoczno, ścisk, korkujące się ulice. Przygotowane zasieki – metalowe ramy z gęsto rozciągniętym drutem kolczastym.

* * *

Ryby zaczęły umierać na początku kwietnia. Nie, nie w całym

Wietnamie. Tylko w środkowej części na odcinku 200 kilometrów z 3444 kilometrów linii brzegowej. To wąski i górzysty pas ziemi, przez który w czasie wojny biegła strefa dzieląca kraj na północ i południe. To dlatego był często bombardowany przez Amerykanów. Do dziś w lasach i na polach leżą niewypały. Ziemi nie ma tu zbyt wiele, ludzie żyją z morza. Z ryb, z krewetek, z małży.

Od kwietnia plaże centralnego Wietnamu pełne są gnijących ryb.

Po trzech tygodniach rząd przeprowadził dochodzenie. Nic nie wskazuje na to, żeby właśnie wybudowana przez tajwańską firmę, Formosa Plastics Corp, fabryka stali miała coś wspólnego z wpływającymi do góry brzuchem rybami.

Fabryka jest olbrzymia. Wielka „niczym miasto” – mówi mi znajoma Wietnamka. Nikt nie wie, co się dzieje w środku. Zatrudniani są Tajwańczycy, a może nawet Chińczycy. Wietnamczycy tylko sprzątają. Jeden z takich sprzątaczy udzielił podobno gdzieś komuś anonimowego wywiadu: rząd wietnamski musi zapowiedzieć się na wizytację, oprowadzany jest po fabryce przez menadżerów, nie wszędzie wolno wejść. Podobno fabryka nie osiągnęła jeszcze pełnej operacyjnej mocy. Krążą też plotki o jakimś nielegalnym ścieku, który rząd wietnamski kazał usunąć.

Przyczyny śmierci ryb ciągle są badane. Niespiesznie, dodają Wietnamczycy. Możliwe, że to przez toksyczne czerwone algi – obwieścił pod koniec kwietnia rząd. Zakazał łowienia, przewożenia, sprzedawania i jedzenia ryb, krewetek i małży z 200-kilometrowego pasa centralnego wybrzeża. Ryby nadal umierają (agencje informacyjne mówią o ponad stu tonach), rybacy w protestach wyrzucają je na drogi. Rząd obwieścił: to olbrzymia ekologiczna katastrofa.

Jeden z dyrektorów Formosy stwierdził: „Wietnam musi wybrać pomiędzy przemysłem a rybami. Nie można mieć dwóch rzeczy naraz.”

* * *

1 maja w Sajgonie i w Hanoi na ulice wyszli ludzie z transparentami „wybieram rybę”. Zagraniczne gazety pisały, że policja zablokowała ruch umożliwiając przejście demonstracji. Wietnamscy znajomi, powołując się na zdjęcia z „Facebooka”, mówią, że protestujący zostali zatrzymani na 12 godzin. Niektórych na ulicy pobili mężczyźni w dżinsach i t-shirtach.

Tak samo było 8 maja. Podobno setki, a może tysiące, wyszły na ulice. Zatrzymani. Pobicci.

15-go maja w Sajgonie szukałam demonstrantów. Ktoś mówił, że będą przed dziewiątą rano pod bazyliką Notre Damme. Była tylko policja. Ktoś inny powiedział „nie, nie, będą koło siedemnastej pod Pałacem Zjednoczenia”. Było tylko wojsko. Przez cały weekend nie działał facebook, którego używają protestujący. Anh Chi, piszący po angielsku dziennikarz, na „Twitterze” donosił o pobitym chłopaku, zatrzymaniach, domowych aresztach (aktorki Kim Chi nie wypuszczono z domu).

Próbowałam kilka razy, żadnych protestujących nie widziałam, choć ludzie mówią, że byli. Spotkałam tylko zaczerwienionych turystów, którzy dopiero co wyszli z Muzeum Pozostałości Wojennych (gdzie obok narzędzi tortur stoją słoje z uszkodzonymi przez Agent Orange płodami w formalinie) i siadali w jednym z barów na zimne piwo. I jeszcze dzieciaki grające w parku w zośkę, wiernych na mszy przed bazyliką (ci, którzy nie mieszczą się w środku, siedzą na ustawionych w rzędach motorach na placu przed kościołem). I policjantów. Stali w grupkach na każdym rogu w centrum miasta.

* * *

22 maja, w niedzielę, odbyły się tutaj wybory. Każdy miał prawo głosu. Wybierano delegatów do Zgromadzenia Narodowego. Wszyscy kandydaci są z jednej – jedynej – partii. Znajomi mówią, że to strata czasu. I tak wiadomo, kto wygra. Tutaj z góry wszystko jest ustalone. Nawet ekologiczna katastrofa tego

nie zmienia. A na razie wykupują ze sklepów sos rybny – podstawowy składnik wietnamskiej kuchni. Zatrutych ryb niby nie wolno sprzedawać, ale kto wie, co trafi do następnej partii sosu, który musi fermentować przez kilka miesięcy.

I co tydzień chodzą z transparentami. Czego żądają? Sprawiedliwości dla ryb, czystego środowiska i przejrzystej wody.

Autorstwo: Katarzyna Boni

Źródło: [MediumPubliczne.pl](https://mediumpubliczne.pl)